

TYGODNIK ZIEMI SANOCKIEJ

Prenumerata z przesyłką wynosi:

rocznie 8 kor.
kwartalnie 2 „
Numer pojedynczy 20 hal.
do nabycia w Sanoku — w „Kramie“
T. S. L., w księgarni K. Pollaka, i w
trafikach.

Wychodzi w każdą sobotę wieczorem.

Prenumeratę i ogłoszenia przyjmuje Kram T. S. L.
i Redakcja w Księgarni.

REDAGUJE KOMITET.

Listy adresować należy do Redakcyi (ul. Jagiellońska l. 40).

Ceny ogłoszeń:

za wiersz 1-szpaltowy — lub jego
miejsce — drobnym drukiem (peti-
tem) 10 hal.; w rubryce „Nadesłane“
20 hal. od wiersza.

Rękopisów się nie zwraca.

Przy opłatku...



Święto Bożych Narodzin to dla nas odwieczne święto narodowe, z którym tradycya obyczajowa wieków zespoliła apoteozę spólności rodzinnej, jedności zbiorowej i czci pokoleń młodych dla ideałów przeszłości. W wspomnieniach każdego z nas wieczór wigilijny otoczony jest blaskiem najszlachetniejszych wzruszeń lat dziecięcych. Nad ziemią polską, jak długa i szeroka, melodyjne popłyną tony kolend prastarych, a w płomieniach świeczek — gwiazdek wśród gałęzi każdego drzewka wigilijnego migocących jarzyć się będą uczucia, płonąć marzenia kroci tysięcy główek dziecięcych, ufających w tryumf Boga, który się rodzi i w pohańbienie truchlejących mocy ziemskich.

Dziś już wspominają o tych wrażeniach z smutną tęsknotą te same głowy przez które przeszły miazdzące koła doświadczeń, zawodów, rozczarowań i zwątpień. Ale choć w wyobraźni zatarły się jasne barwy dziecięcych ulud, choć uczucia i marzenia poszły daleko poza obrazy pojęć tych lat pełnych cudu i czaru, w niemniej głębokim nastroju duchowego skupienia zbliżamy się jak ongi do stołów wigilijnych, aby symbolicznym dzielić

chlebem. I ustępuje wtedy z serca wszelkie skolatanie doczesne, a pierś przepelnia uczucie dziwnie mocne: wiary polskiej, z której sączy się moc wytrwania.

I jak ongi, jak co roku, tak i obecnie — zwłaszcza teraz, gdy nowe ciosy idą na Polskę od dalekiej północy, dziatwa polska w modlitwach do Dzieciątka Bożego, które przyniosło światu błogosławieństwo odrodzenia dusz, w chwili tej modlić się będzie ta najgłębszą dziecka modlitwą oepszą dolę dla Polski, o opamiętanie tych, co ją poniżają i krzywdzą, o ochronienie Jej przed klęskami nadchodzącymi... Starsi łamiąc opłatek wśród życzeń, aby ta Gwiazdka Betleemska, siejąca iskry Boże duchowej mocy dała nam siłę przetrwania gromów i burz, siłę przetrwania niedoli i wychowania przyszłych pokoleń na godnych spadkobierców ideowej spuścizny przez przeszłość przekazanej. Splotą się dłonie w bratnich uściskach wśród niemych ślubowań oddania każdej myśli i czynu każdego temu, co jest religią naszego uczucia: Ojczyźnie. Do tego bratniego gorącego uścisku wyciągamy dłonie nasze z tem najserdeczniejszym życzeniem, by wzmogła się wśród nas organiczna praca, by ugruntował się hart tężyzny, któryby ukochanie sprawy polskiej przekuł w setki tysięcy stalowym ramion, by po całej Polsce powionął duch nadziei, a przy każdym

ognisku domowem zapanowała otucha i ufność w lepsze dni. Niechaj pamięć zdarzeń, co naprzemian zakrwawiały i napawały dumą serca polskie, wzmocni nas i zahartuje do dalszej walki o to, co nam najdroższe i najświętsze.

Nadzieją zbrojni, silni zapalem, mądrzy doświadczeniem, zahartowani i gotowi, wspierajmy każdy poryw uczciwej pracy, czuwajmy zbrojni w myśl czujną i mądrą, w duszę wierzącą, w ręce mocne, czuwajmy i tężmy ramiona, by była dana nam ta promienna chwila, by wśród błysku słońca rozwinął do lotu swe skrzydła sztandar Niepodległej, Wolnej Polski.

Czuwajmy!



Gdy się Chrystus rodzi...

Z niedwuznacznie znużoną miną, lekko poziewając, wyciągnął rękę na pożegnanie:

— A więc dowidzenia! do jutra.

— ?!

— Jakaś Ty dziecinna! Chyba pojmujesz, że dzisiejszy wieczór muszę im poświęcić... no i w końcu wypada!

Prawda! że też jej odrazu to na myśl nie przyszło! Tylko... jakto? W dzisiejszy wieczór ma zostać sama? sama?!...

P. KLIMCZUK.

Jak Jezusik u Walentego na wilije był...



Dawno bars dawno to już było.

Był naród jenszy, był urodzaj jenszy był naród dobry, było ludziom dobrze.

Pociemniało już sielnie, i z wieczora to było. Gdzieniektórzy pozierali już ku górze, czy ano gwiazd nie widać, bo wilija to była,

Śnieg łachą pokrył ziemie, ani drogi ani ścieżyny najmniejszej nie widać; bez kijaska w droge nie idź, bo zbłądzić łatwo, a po borach tłukło się zwierza moc. Żyrne to było, jakoże zima nie lada była. Mróz zmarzał się coraz bardziej. Jak okiem sięgnął, nie mo bielusko a bielusko, cichłość, jakiej i w grobie niema.

Bory całe zawałone śniegiem, chojary drzew aże stękały od nawały — a choć to śnieg ino, zawsze ciężko im było. Zimy takiej dawno nie było — o nie!

Bez pola, bez góry i bory, po puchu onego śniegu szedł sobie mały chłopacek. Ubrane to było lichutko: porteczki i kabacik ino, z gołą głową a bosc. Idzie se wesole, pogwizduje jakby to nie mróz a śnieg — ino lato upalne a ziemia kwiatami umajona była.

Włożyło se rącki w kieszenie i idzie to sobie.

Od casu do czsu potrząśnie główką, pokolebią mu się jaśniutkie włoski — i idzie sobie.

Napotka bruzde, podskoczy sobie, stanie mu na drodze chojak, pięknie go odegnie — i idzie sobie.

Kiej sie jus dokumentnie umęcył, usiadł se na miedzy.

Wnetki przyleciał piękny ptak, wielgachny kieby gęś i gada:

— Siadaj chłopacku, pojedziemy dalej...

Usiadł se malusi i leci, leci ponad góry i lasy, ponad rzeki i stawy i dalej i dalej.

— Dość ptasku — mówi malutki, pusć mnie juz, pónide dalej sam.

I znowu idzie sobie.

A gdy go nożeta zbolaly, znowu se usiadł i znowu ptak psyleciał i znowu dalej pojechał malusi.

I tak dostał się aż do nasej wsi. Przed opłatkami zlaz se pięknie i idzie dalej.

A tu w każdej chałupie cerwono a zółto w oknach, bo wilija. Mrugają te światelka na małego i uby prosą go pięknie: wstąp boś zmarzył.

Zajrzał mały w jedno okienko chaty, w drugie, w trzecie: Widzi ludzi, co galanto obsiedli stoły, pogrywają se wesole i gaworzą.

Gdzie niektórzy pocęli jus spiwac kolegdy, powoluško a później coraz sielniej, w końcu dygotaly ino sybki od tego jargotu ludzkiego. Ano wilija...

Chłopacek nas stanął se w opłatkach zagrody Walentego, tego co to koło organisty siedzi — i zadumał sie.

— Isć cy nie isć — myśli.

E — wejde!

Puk, puk cichutko do drzwi. Pieski skoczyły z jazgotem, ale wnetki ucichły.

Ceka mały chwilę dobrą. Gdzie ta! nikt nie otwira, w chałupie takie spiwanie, ze

Pod wpływem tej myśli coła się jakby w głąb siebie i spogląda z rodzajem bolesnego niedowierzania.

— Cóżes taka zdziwiona? Przyznasz, że inaczej postąpić nie mogę. Trzeba się liczyć z opinią...

Ależ naturalnie! przyznaje i pojmuję aż nazbyt dobrze. Rozumie, że choć dawno rzuciła tej opinii rękawicę, dziś musi przed nią ustąpić i zrzec się swoich praw na rzecz „tamtej”...

Bo cóżby powiedziała wszechwładna opinia, gdyby taki szanujący się i dbający o nią burzuj nie spędził tego dorocznego, wigilijnego wieczoru przykładnie, w milej, ciepłej zgodzie, przy sympatycznym ognisku domowym... bez względu na to, czy czcigodne małżeństwo znajduje szczególniejszą przyjemność w wzajemnym towarzystwie... (co jednak nie przeszkadza tejże opinii rzucać się z żarłocznością hyeny na rozmaite zakulisowe intermezja życia codziennego szanownego obywatela i jego wielce szanownej połowicy).

Rozchodzi się tylko o zachowanie pozorów, pozatem — niech żyje życie!

I wyobraża go sobie w roli czulego małżonka, wynagradzającego kochanej żonczce zwyczajne zaniedbanie okolicznościowymi wybuchami słomianej czułości — do czego szczególnie nadająca się jest okazja „gwiazdki”, Nowego roku lub imienin.

Nastrój wybitnie świąteczny, bo dziś wyjątkowo tatusz nie idzie „na posiedzenie” i nie może przepędzić laskawie kilka godzin przy jasno tego dnia płonącym ognisku rodzinnym, w otoczeniu grona mniej lub więcej przyjemnych dzieciaków.

Zachwycający wzór przykładowego ojca rodziny!

Lecz choć w duszy drwi z tego filisterskiego „ogniska”, jednak... ona będzie dziś samą!

To, o czym bała się myśleć przez szereg dni, wali się teraz na nią z całą potwornością nieuniknionej rzeczywistości.

— No, cóż tak posmutniało małżeństwo? Mnie również niebardzo wesoło, że trzeba się na dziś pożegnać — ale już późno. Mam jeszcze tyle sprawunków do załatwienia... Rozumiesz... gwiazdka! Bo choć, jak wiesz, nie przywiązuję żadnego znaczenia do wszelkich „tradycji”, jednak dzieci zawsze dziećmi... Sądzę, że mając książki, bez których nigdy obejść się nie możesz, nudzić się nie będziesz. Zresztą jutro przylecę jak tylko mi się uda najprędzej. Dobranoc Marysi!

— Dobranoc.

Choć wogóle jest fenomenalny w nieumiejętności wzięcia się w czyjaś sytuację, czy uczucia, jakoś żał mu odchodzić. Ta wiotka, wątła postać, owiana subtelnym czarem kobiecości, robi na nim deprymujące wrażenie. Wydaje mu się dziwnie biedną, bezradną, potrzebującą oparcia i jakby proszącą o ciepłe, przyjacielskie słowo.

Coś niby dziecię zbudzone z przykrego snu i daremnie szukające wokół opiekuńczej dłoni matki.

I jest mu z tem niewygodnie.

Czyżby wyrzut sumienia?

Bo oto, idąc wcale wygodną ścieżką życia, z sytą miną człowieka, któremu się wszystko udaje, spotkał kwiat — zresztą historia jakich wiele — i ani przez chwilę się nie zawahał, czy ma go zerwać, czy minąć.

Wprawdzie kwiat miał na rodzimej glebie wszystkie warunki rozwoju, a nadto pewien bardzo niepraktyczny przymiot: ufność i wiarę w ludzi — i ufnie, bez troski śmiał się ku niebu rożanym puchem dziewiczych rojeń, a teraz zerwany w jego ręku więdnije — cóż ztąd?

Nie on pierwszy i nie on ostatni używający przyjemności świata, póki służą lata...

W końcu, stać go na ewentualność ponoszenia konsekwencji swoich „mniej honorowych” czynów!

A że ten antrakt nudnego życia małżeńskiego umiał zręcznie sam przed sobą osłonić iluzją szczególniej-

szego, „prawdziwego” sentymentu — tem lepiej... Był rozgrzeszony w sumieniu — o ileby ono wogóle zechciało czynić mu t. z. wyrzuty — i miał okoliczność łagodzącą, a nawet dostatecznie usprawiedliwiającą fakt, że zapomniawszy o już roznieconej pochodni hymenu, (do czego skłoniła go w swoim czasie złota oprawa „wybranki serca”) wyciągnął od niechcenia rękę po naiwny, niedoświadczony kwiatek, który nie miał dość siły odpornej, by oprzeć się czarowi pierwszego, jakkolwiek niedozwolonego uczucia.

Ach! gdyby był wolny!... gdyby był prędzej ją poznał... Teraz widzi, że tylko ona jedna była by godną imienia jego żony i matki jego dzieci... (co jednak nie przeszkadzało mu przy nadarzającej się sposobności zrywać innych naiwnych kwiatków i uskarżać się przed nimi: Gdybym był wolny...)

No, ale fakt, że to wielce zaszczytne stanowisko zajęte już przez inną, mniej tego zaszczytu godną — faktem, i żadne rozumowania ni żale spóźnione tego nie zmienią.

Przed tym silnym i tak przekonywującym argumentem pierzcha poczucie niby winy, a w jego miejsce wyłania się o wiele więcej niepokojąca okoliczność, że... już późno!

Więc jeszcze kilka zdawkowych słów pożegnania, zgrzyt klucza i echo kroków milknących w głębi klatki schodowej.

Jest sama.

Pierwszy raz w życiu w ten wieczór sama...

Mrok gęstnieje. Z kątów poczynają wypelzać długie ponure cienie, rozwlekające wokół upiorne kształty.

Krwawe światło lampki płonącej przed czarnym krzyżem Zbawiciela, nabiera w zmroku siły i zapala w krąg rubinowe błyski.

Coraz mroczniej.

Przez cienkie, koronkowe zasłony okien przedziera się niepewny blask

hej! Ha — co robić? wchodzi malutki do izby sam, nie prosony.

— Pochwalony mówi...

Ale go nikt nie wita, bo kupom siedzą nad kancyzką i śpiją...

— Pochwalony, mówi głośniej —

— Tatulu, ktosik przyszedł, mówi Wojtek, syn Walka.

— Ha? kto? —

— Ja mówi cichuśko mały.

Rusyli się kupą do małego i nuzę pozirac na niego i wypytywać, co za jeden.

Maluśki nic nie peda, jeno poziera na nich wesoło.

— A kaj capka, pytają —

— Ni mom

— A buciary? —

— Ni mom...

A nie zimno ci było?

— Ni peda. —

Css — syknął Walenty. Pewno sirota jakaś!

— A chodźże bidaku bliżej, mówi Walentowa. Chłopaki gościa za stół, zróbcie mu miejsca. —

Dziecka w te pędy zaciągnęły małego na ławę, wyścieloną sianem, przysunęły lampę, aby lepiej go obaczyć. Walentowa, jakto każda baba.

— A może tobie tego, może tego...

— Pockaj matka, prawi Walenty... po kolei —

Przełamał się z nim oplatkiem, podał śledzia i barscu i poważnie go prosił, coby jadł.

Kiedy malutki pojadł se dokumentnie, i ogrzał sie co sie zowie, pocął z nimi cieniutko kołędować.

Aleć pomału, pomału słabł jego głosik coraz bardziej.

Oparł się głową o snop zboża, co w rogu na ławie stał i przy kołędowaniu usnął se pieknie.

A tu w małej izbie zapanowała o śpiewanie, nicem w kościele.

Śpiwają se sielnie, gdzieniektórym juz oehryply głosy — nic to — oni ciągiem śpiwają.

Walentowa mrugnęła na niego:

— Spi już — mówi mu do ucha.

— Kto?

— A mały!...

Poziera Walenty. Zerwał się z ławy, stanął i patrzy, ani słowa rzec nie mogący... Pozierają inni...

— Laboga! co to?...

Od Malutkiego biją jasności, kieby od monstrancyi. Kosulinka na Nim długa, bie-

łuśka jak śnieg, rączka złożone jakby do modlitwy, a uśmiechnęty jak janiol. —

Spi sobie — jak święty jaki...

— Nikt ino Jezusek przyszedł do nas mówi Walenty — — Pomału Malutki otwiera ocy, cudności ocy, — i śmiejąc się mówi:

— Tak to ja!...

A oni wszyscy rym do nówek Jego — jak skosone kłosa — jęcąc:

— Jezusku złoty — — ostań!...

— Ostań z nami... wołają

— Nie mogę — — pódę do innych, mówi Jezusek — —

I pomalutko pocął się unosić pod pułap izby, pomalutku — cały w jasnościach i kosulinie bielutkiej jak śnieg ten — —

A za nim kieby dwie czerwone pręgi sunął krzyż — — coraz wyżej i wyżej —

Az znikł całkiem...

Walenty patrzył długo jesce, patrzali insi — a z ocy ich płynęły łzy — gruchne, kieby groch od wielkiej łaski — —

Zabuczał dzwon na pasterkę...

Pošli kupą wsyscy, by podziękować Jezuskowi raz jesce za łaskę — —

Tak to Jezusek przysedł na wile do Walentego.

Wigilijny dzień był prześliczny.

Słońce brylantowym smyczkiem przeciągało po gronostajowej bieli nieskalanych śniegów, co leżały jak płaszcz zaklętej królowy, pod którym szara ziemia śniła sen — o wiosnie. Cała siedmiobarwna tajemnica promienia słonecznego rozigrała się. Biegły smugi tęczowe, tęczowe węże, obrazy bajkowe nieziszczone na jawie, fantastyczne skry, fontany świetlne, co się łączyły w snopy światła i gasły.

Sosny wyciągnięte w lirę polyskiwały w tych blaskach jak wotywne świece. Płomień czółgały się od pni aż po czuby.

Ale słońce spokorniało, kiedy błękitnolity zmierzch, na złoto-srebrnych krosnach zaczął tkąć przedwieczną baśń. Rzut jego farb był słodki, jak rzut szat brokatowych o linii niepokalanego piękna.

Drzewa słuchały tajemniczej gęźby fletniowej, którą szemrał srebrnopióry wicher, zbierając z dali fiołkowe omamy mgieł, zasypując znów wszystko pyłem różanym zabrany z zorzy zachodu.

A potem słońce skonało.

Niebo było jak mleczny dzwon i ostatnie żegnalne blaski, pastelowe, legendarne wtapiały się w ciszę.

Był w tem wszystkim akord piękna, co sprawia w duszy boskie zadowolenie.

Przyroda brała udział we wielkim święcie, które za parę godzin miało zespolić serce kochające przy uczcie wigilijnej.

* * *

Na zrębie lasu w pustce, której świat oddechem nie brudził, stała jakby gniazdo jaskółcze do skalnego brzegu przylepiona, stara rudera.

Było to samotne ustronie pełne jakiejś upiornej cmentarnej martwoty. Wiała z tego kąta melancholia przeraźliwej pustki i przegnatający smutek daremnie oczekiwania. Ludzie chatenkę omijali; bali się nędzy. Rozwaloną była do połowy; uschnięty trup starej gruszy stał na straży koło okna; zapadłe mury przykre robiły wrażenie.

W zimie jednak przemieniała się ta chatenka w coś mistyczne średniowiecznego. Dobroczynny śnieg nakrywał białą pościelą zrujnowany dach, a wysterczające gdzieś niedziele kawały gliny lub mchu dodawały fantastyczności. Tam gdzie wapno opadło ze ścian, zielona pleśń stroiła drzewo w archaiczną patynę. U zrębu dachu wisiały cieniučne tople jak tkanina brabantkich koronek, jak gór kryształ. Wewnątrz tej chaty czaiła się bieda straszliwa. Niedużo sprzętów było. Mały stół stał pod oknem; kula we krzesło; tapczan pełen brudnych łachmanów; pare garnków glinianych na piecu. A izba była tak maleńka, że z trudem dwoje obracać się mogło.

Mieszkała w niej uboga wyrobница z chorym ośmioletnim synem, którą mąż brutal porzucił w kilka miesięcy po ślubie w świat odjeżdżając daleki.

Marya była to jedna z tych istot, które wegetują po za nawiasem wszelkiej radości życia. Garść popiołu rzucano na wiosnę jej dni. Mimo młodych lat nie była nigdy wesoła; nie miała nawet ruchów swobodnych, jakby się wieczyście bała, że kulaki spadną znów na jej plecy i głowę. Był w jej twarzy stan trwałego przygnębienia, zmiezulenia, przerażenia duszy obumarłej pod ciosami bezlitosnej niedoli.

Od czasu, kiedy musiała ciężko pracować na kawałek chleba i Adas jej ukochany syn zaczął chorować, patrzyła na wszystko przez łzy. Uratować syna, wrócić mu zdrowie za wszelką cenę, było jej marzeniem. Cóż kiedy jedynie dobre pożywienie i ciepło mogło mu wrócić siły żywotne. A tu jeno czasem było ciepło w izbie, a pożywienie zwykłe marne.

Oto idzie teraz pełna troski i znużenia. Wraca z miasteczka, dokąd chodziła po kaszę i jabłka dla Adasia. Znajomy drwał dał jej małą sosenkę. Przyjęła z wdzięcznością dar biedaka i teraz kłopotce się, czem ją ubierze i co na niej zawiesi.

Blade wspomnienia chwil odległych, dawno umarłych zaczęły przepelniać czarę jej smutku.

Zatrwożyła się.

Dom rodzinny — święta — dostatek. Boże, Boże, jak to dawno — — minęło wszystko.

Minęły te chwile, w których kameleonowa tkanina szczęścia otulała ją i ona miała wtedy purpurowe godziny zachwyty i złoty spokój i cichość przynajśłodsza.

Wązką ścieżką dotarła nareszcie do swojej pustelni.

Pchnęła drzwi i weszła do ciemnej sionki. Postawiła drzewko w kącie, potem weszła do izby.

— Mama — radośnie zawołał blady chłopak i uśmiech anemiczny pojawił się na spiekłych wargach.

— Leż Adasiu, tu zimno — odparła Marya, widząc, iż chce wstawać i zaczęła pocałunkami okrywać jego głowę zbiedzoną.

— Ciepło ci? —

— Bardzo. —

— A nie boli? —

— Nie nic nie boli. Trochę głowa. Ale to przejdzie i gorąco jest. Popatrz — i podawał jej chude rączyny spocone, rozgorączkowane, które gładziła spracowaną, zimną dłonią.

— Zaraz rozpalę ogień i ugotuję ci kaszy i jabłek. Dobrze? —

— O nie Mamo, nie ma czasu. Niedawno był tutaj parobek z leśniczówki. Musisz tam iść, pomagać trzeba; goście z miasta przyjechali i kucharka nie da sobie rady. Dostaniesz Mamo całą kolację i koronę! —

Marya uważnie słucha, co chłopak mówi, a każde słówko jak klejnot zapada na dno jej serca.

Korona, powtarza jakby w magnetycznym śnie i tyle jedzenia.

— No idź, już idź, Mamo — nagli Adas — widzisz, jeszcze nas Pan Bóg w swoje święto nie opuścił i ludzie o nas pamiętają.

— A tobie tak samemu smutno nie będzie? —

— Nie Mamo, nakryję się i może usnę. Tak lubię różne sny; wtedy mi ciepło i nic nie boli. Jak wrócisz, zapalisz ogień i ugotujemy coś dobrego. Prawda? —

— O tak zjemy coś dobrego. Ja nie tknę inojej porcy. Wszystko dla ciebie Adasiu, dla ciebie. Tymczasem postawię ci drzewko, patrz na nie. Potem ubierzemy je jabłkami, a może orzechów i świeczek przyniosę? —

— Świeczek! radośnie zawołał i klasnął w dłonie. No idź Mamo prędko, idź prędej wrócisz. —

Marya przyniosła choinkę, postawiła w kącie przy łóżku. Dała Adasiowi kawałek chleba czarnego i jedno jabłko. Ucałowała chłopca serdecznie i poszła uносяc na swoich ustach melancholię ostatniego, żegnalnego pocałunku.

Nędza zwyciężyła.

* * *

Krystaliczna, chłodna jasność powietrza mrozem tchnięta. Zadumane niezmiernie milczenie ogarnęło świat.

Marya zaczęła żałować, iż wyszła. Zapóźno jednak na powrót było.

Ciemność biła powoli miękkim skrzydłem. Było coraz mroczniej i coraz tajemniej. Niebo czarne i głębokie zaczęło wyjawiać tajemnice gwiazdnych hieroglifów.

Księżyc zakrzepł w ogromną srebrną łzę — i zaczął wszystko swoim chłodnym dotknięciem. Drzewa opylone uludnem zaklęciem jego srebrnej przędzy, szeptały bezgłośnie pacierze, szumiąc modleniem cichem i wiecznym. Przyszły marzone godziny świętego wieczoru, pisała rękoma aniołów na aksamitnych, granatowych chmurach.

W noc taką Madonna jasna i dobra ludzkiemu uśmiecha się szczęściu i błogosławi wszystkim anielstwem swej twarzy. W noc taką przychodzą do nędznych i małych białe Anioły Pocieszema.

W izdebce Adasia działy się dziwy.

Jasne smugi ozłacały każdy kąt, wszystko było takie miłe, takie złote, ponętne. Adasia ogarnęło nieznanne mu dotąd uczucie.

Ciepło — sen — jawa.

Coś przyszło doń szlakiem różanym, melodia słowicznych pieśni, wonią pachnideł

myrrheńskich w szafirowej legendzie świetlistości.

Kiedy otworzył oczka, ujrzał koło swojego łóżka prześliczną istotę.

Taką widział jeno na świętym obrazku w książeczce do modlenia u swojej matki.

Był to biały aniołek w szacie topazowej, złote miał loki, błękitne bajki-oczy i tęczowe skrzydła.

Drzewko znów płonęło tysiącem światła, świecideł, niewidzianych słodyczy, orzechów połączanych, pierników.

Adas z radości nie mógł oddychać. Oczy mu rozplonęły jak gwiazdy. Pił blaskiem umęczonych źrenic cały czar nieznanych dotąd rzeczy. Pił jak nędzne chore dziecię pije dobre orzeźwiający wino. Pił jak pąk kwiatu pije ranną rosę, jak ptak osłabiony dalekim lotem pije wodę.

I wmiłował się w duszę Adasia w jednej chwili ów mały Anioł-Stróż, gdyż przyszedł doń ze spletem dobrych ramion, przyniósł ze sobą wiosenne marzenie i ukazał drzewko cudnie ustrojone.

Kłonił się ku sobie jak dwa kwiaty.

Jeden leśny, blady, nędzny, stęskniony wiecznie za słońcem, barwą i wonią, pełny niemych przeczuć, nieukojonych tęsknot za dalekim dniem.

Drugi złoty, w krainie niebiańskiej urodzony, nabrzmiały wonią, pełen seraficznego spokoju.

Aniołek usiadł na krawędzi tapczana i zaczęli rozmawiać.

Słowa aniołka, które przyniósł z gwiazd, jak rosa wonna zapadały w ciszę i pustkę, a głos jego kładł się pieszczotą pieszczot na serce biednego sieroty.

Otworzyły się czarowne gaje uniesień.

— Żle ci na świecie? — pytał Aniołek.

— Żle, odparł Adas cichuteńko i tak boleśnie, że w tem jednym słowie streściło dziecko skargę na wieczny ból. —

— Pójdiesz do nieba. Dobrze? —

— Pójdę. Weź mnie, weź — prosił Adas zapominając o matce — a jak tam w niebie, opowiedz. —

I zaczął Anioł mówić o cudnem królestwie, w którym żyją dusze wybranych ludzi. Jako, że jest łąka ze samych niezapominajek, dlatego takie niebieskie. Rosną na niej też i złote kwiaty, na cienkich łodygach, kiedy noc przychodzi, one rozkładają swoje kielichy rozkwitając żarem. Ludzie nazwali je gwiazdami.

Na łące pasą się białe baranki, aniołki małe bawią się nimi. Czasem tylko, kiedy bardzo psocą i dokazują, święty Piotr się gniewa, wtedy one płaczą, niezapominajki stulają kielichy, robi się chłód, ciemno. Ludzie mówią wtedy: deszcz pada.

W niebie jest ślicznie. Hen daleko stoi złoty tron Boga Ojca, który okrywa złota chmura tak, że patrzeć nań trudno. Tam chóry Cherubów grają na luteńkach pochwalne psalmy.

Raz do roku pozwala nam Pan Bóg zlatywać na ziemię. W wigilię Bożego Narodzenia przychodzimy. Do każdego człowieka zbliża się jego Anioł-Stróż. Jedni go odrzucają zapominając o świecie głusi na zbawienne podszepty; inni obojętnie przyjmują, a jedni cieszą się nim tak, jak ty mój biedny Adasiu — kończył aniołek.

— Jakiś ty dobry — szeptał Adas ukolysany melodią wieczności. — Weź mnie, weź tam do nieba. Aniołkiem zostanę — drzewko będzie — ciepło będzie — — dobrze — — cicho. — —

W zimnej, ciemnej izbie stało się coś, co nie śmiało powstać dniem, a powstało nocą.

Zabłąkany, bezdomny wicher szukający legowiska uderzył w chatkę. Zadygotały ponuro drzwi, a szkielety gałęzi starej gruszy puknęły w maluchne okna.

Anioł śmierci przeleciał. Przyniósł ciułu bielnemu milczący wycpoczek, a duszę uniosł na swoich skrzydłach, ponad pół zamarzłych śnieżne szlaki w błękitną krainę nieskończoności, gdzie panuje cisza taka ukojna jak wniebowzięcie.

* * *

zapalanych latarni i głuchy poszum życia ulicy, kipiącego podnieconem tętnem.

Machinalnie zbliża się ku oknu, na którego szybach mróz poczyna haftować srebrem dziwnie misterne, egzotyczne liści i wzory.

W niepewnym półświecie szybko zapadającej nocy przesuwają się sylwetki szczelnie otulonych, osnieszonych postaci, spieszących w najrozmaitszych kierunkach.

W ich ruchach gorączkowy pośpiech i podniecenie.

Bez jasno określonej myśli, bez ruchu stoi wpatrzona w ten kinematograf życia, z trudem przedzierający się do jej stępałej wyobraźni.

Zwolna, z chaosu myśli i uczuć poczynają wychylać się blade nikle sylwetki twarzy znanych... kochanych... tak niegdyś kochanych!...

Rok temu...

Jakżeż to się stało, że dobrowolnie wyrzekła się ich drogiego widoku? Czyżby miłość, którą lat tyle jej serce dla nich żywiło, zamarła?

Tak się jej zdawało owej chwili, kiedy stanęła wobec konieczności wyboru jednej z dwu ścielących się przed nią dróg: albo zadawszy sercu gwałt zdusić w zarodku budzące się uczucie grzesznej miłości — albo, depcząc po najdroższych wspomnieniach i związkach pójść za głosem ukochania.

Wybrała drogę ostatnią — sądząc, że to nowe uczucie zdolne jest wynagrodzić jej wszystko, co mu w ofierze złożyła: nieskalane wspomnienia szczęsnego dzieciństwa pod dachem rodzinnym, rojenia dziewczęce o wspólnem życiu z ukochanym, któremu będzie światłem najjaśniejszem, przyjacielem najszczerszym i umiłowanem jedynem — wreszcie niebacznie stargane najserdeczniejsze węzły krwi...

Tymczasem, po całym szeregu wypadków, z których dziś sobie ostatecznie sprawy zdać nie umie, a w których brała udział jakby niewłasnowolnie, ocknęła się niby w spalonej piekielnem żarem słońca pustyni, z której nie widzi odwrotu, bo mosty łączące ją z oazą cienia i chłodu samochcąc spaliła.

Przejrzała — i zrozumiała, że wysniony bohater jest tylko zręcznym kuglarzem operującym tandetnym aparatem pospolitego blichtru i górnolotnych, suggestywnie brzmiących frazesów: o braterstwie dusz, wyzwoleniu z przesądu i śmiesznych, krępujących światowych formulek i t. d. — i że jedynym celem tych zabiegów jest zrealizowanie i zapewnienie operatorowi możliwie największej sumy nowych, podniecających wrażeń, tem milszych, że owianych urokiem szerego, nieklamanego uczucia, — zrozumiała, że zesłała do roli najwyczejniejszej metresy.

Takież finał młodocianych marzeń!

Jak mogła za tak podłą cenę przehandlować bezcenny skarbiec dotychczasowych przeżyć!

Rok temu...

A teraz jest sama... sama!...

Nie, nie sama! Korowód upiornych

mar, które tak długo, usilnie starała się przytłoczyć kamieniem zapomnienia i wgnieść w sferę niepamięci, wstaje widmową zjawą... i z podwójną natarczywością upomina się o pogwałcone prawa.

Nie mogła i nie może w żaden sposób zapomnieć obrazu zwłaszcza tej pochylonej, srebnowłosej postaci, widzianej po raz ostatni z tragiczną maską rozpaczego bólu i plamami biednych, wypłakanych oczu... wypłakanych przez nią...

Jak ona mogła wziąć na siebie rolę kata! jak ona mogła!

Z prawie namacalną wyrazistością widzi i czuje każdy najdrobniejszy szczegół tej sceny... i nagle, z olśniewającą mocą przychodzi na nią poznanie ogromu spełnionej winy i nieodwołalności dokonanego faktu.

Jest ogłuszona i w pół nieprzytomna.

Sklębione władze umysłu poczynają tańczyć w mózgu jakąś piekielną, potępieńczą sarabandę.

Mimo to najwyraźniej, jak gdzieś z odmetów przeszłości płynie ku niej serdeczny szept: *Moja Wiosna...* — a wraz bezpośrednio wnika świadomość, że już nigdy... nigdy tego głosu nie usłyszy... że on pożegnał ją słowami: *Moja Wiosna umarła...*

Trwożnie ogląda się wokół jakby w poszukiwaniu źródła tego głosu, który z tak przerażającym realizmem uderzył złowrogo w trzęsawisko fatalnych wspomnień.

Niby głuchy stuk młotka, wgniatającego gwoździe w wieko trumny...
...*Moja Wiosna umarła...*

Chwyta ją obłądny, rozpaczny lęk.

Czuje, że musi się stać coś, co wyrwie ją z tego błędnego koła myślowej katongi, gdzie czyha na nią przepaść szaleństwa.

Ach! uciec przed sobą!... Przestać myśleć!...

Jakby niewłasnowolnie błądzi po wpół ciemnym pokoju, potykając się o sprzęty, tonące w tajemniczym, krwawym mroku.

Gdyby tak teraz...

Darmo... cud się nie stanie.

Zieloną darń cmentarną skrył biały śniegu puch... a ona nie ma odwagi przypaść do tej mogiły, objąć jej świętokradczem, plugawem dotknięciem... przytulić się do niej... poskarżyć... i wyszeptać: *Matko przebacz!...*

Gdyby tak teraz... móżdż przypaść do tych drogich kolan... utulić biedną, znękaną głowę w tych kojących, ukochanych dłoniach... możeby uciхло rozpętane piekło szalejące pod czaszką...

Lecz... co to?

Z gwaru zmieszanych głosów dolatujących z za ściany wypływa wyraźnie czysty, dziewczęcy głos słowami pieśni: *„Gdy się Chrystus rodzi...“*

Jak zahypnotyzowana staje nieruchomo, wsłuchana w nieuczzone dźwięki, lejące się dziwnie słodkim balsamem na wzburzony ocean jej duszy.

Bezwiednie podnosi wzrok i spotyka beżmiernie smutne, lecz pełne miłości i przebaczenia spojrzenia Ukrzyżowanego.

...Więc jest cicha przystań, gdzie milkną najszaleńsze orkany... gdzie nieszczęsny rozbitek wyczerpany walką z rozhukanym żywiołem znajduje miłosierdzie i odpocznienie?...

A z rozchylonych spazmem męki ust Zbawiciela zda się płynie miłościwy, cichy głos: *„Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy pracujecie i obciążeni jesteście, a ja was ochłodzę...“*

...Więc i jej winom przebaczenie dane być może?

Więc i jej wolno schronić się przed pościgiem piekielnych fury do świętego przybytku ciszy i ukojenia?..

Coś rwie się w jej zakrzepłej długotrwałą męką duszy... jakiś żal okrutny, bezsłowny, długo tajony w najskrytszym zakątku serca, poczyną rwać stawiane mu tamy... pękają jakieś palące więzy, co w krwią ociekające rany się wpily — aż z rozdzierającym, bezbrzeżnie bolesnem łkaniem rzuca się do stóp krzyża, wołając: *Chryste! o Chryste przebacz!!!...*

A za ścianą rośnie gwar wesołych głosów i wrzawa swawolnego, dziecięcego śmiechu, zmieszane z kojącą ból serdeczny melodią pastuszej pieśni: *„Gdy się Chrystus rodzi...“*

WY MOŻE!



Wigilja! wigilja! Snów tysiąc się tłoczy,
I płyną wspomnienia rojem —
Jak każdy syn ziemi — i ja mam w łzach
A kamień na sercu swoim. [oczy,
Tak smutno, tak ciężko, wśród wspomnień
[cmentarza,
U grobów zatrzymać się znanych,
Gdzie echo wciąż żywe pieśń dawną po-
[wtarza
O szczęściu i snach rozwianych.

Wigilja!... dom własny!... i ojciec i matka,
I święta spokojność w duszy,
I w dłoni matczynej szmer suchy opłatka,
Który się w palcach jej kruszy.
Jak ręka się trzęsie!.. jak czoło jej zbłądło!..
Pierś szarpią boleści skryte —
Spojrzała na dzieci... i z ust jej wypadło
Życzenie we łzy spowite:

„Wy może!“ — Pamiętam i szept ten
I serca zdwojone bicie, [i drzenie
I ogień krwi własnej — i oczu płomienie,
Rzucone w przyszłość, gdzieś — w życie!
Ach!... przeszło lat tyle!... Umilkły harf
[dźwięki,

Zszarzało niebios przestworze —
Dziś biorę tak samo opłatek do ręki,
Do dzieci szepczę: „Wy może!“
Kazimierz Gliński

Wigilijny sen.



Dzień boskiej radości zawitał znowu.
W miastach, miasteczkach, wsiach wrzał
ruch. Była to ta nieodzowna wielkim świę-
tecznym przygotowaniom bieganina, niepokój,
ścisk, jakby już po tych trzech dniach nie
było więcej życia.

Jeno hen, daleko, tam gdzie olbrzymie
pasmo gór stało, panowała niezmacona ci-
sza święta, powaga i dostojność znamionują-
ce olbrzymów.

Było już po północy.

Z dalekiej leśniczówki wąską ścieżką, co śniła jak pas srebrnej tamy, szła Marya ku swojej lepiance.

W garnuszkach niosła dużo dobrych rzeczy; w róg chusteczki zawinęła śliczną nową koronę

I marzyła. Marzyła o tem, co kupi za tę koronę; co będą robić przez dwa dni świąt; jak ubierze choinkę, gdyż dał jej parę świeczek kolorowych i orzechów złoconych.

Tęsknota bolesna przenikała jej serce, kiedy myślała naczynie tam w ciepłej kuchni, a myśli szybsze od lotu jaskółek były ciągle przy Adasiu: Nie mogła jednak przybieść przedzej. Ale teraz miłość dodaje sił i w duszy jej grają echa kolęd, ciepła i radości rodzinnej.

Noc była ogniami jarząca i śpiewna.

„Szczęśliwy, kto w noc taką umrze“ — powiedziała jej dzisiaj kucharka.

O szczęśliwy bardzo — ogląda samego Boga.

Może ja umrę, zamarznię tu na drodze — — — nie — — — broń mnie Chryste Pannie — — — sam przecież Adaś — — — sam, biedny, głodny, zziębnięty. Jak się on tem wszystkim ucieszy. Drzewko ubierzemy, świeczki zaświecimy, będziemy kolędować, najemy się, a potem spać aż do południa.

Marzenia te popychały Maryę do szybkiego biegu. Ale chwilami nie mogła tehu złapać.

Mroźny wicher ciał niby nożem. Na chustce naokoło twarzy zrobiła się skorupa lodu i przymarzła, nadaremno tuliła oczy.

Smutek równin opustoszałych zaczął ją nagle trwożyć, która w ślad radości lubi się wlec.

Monotonność drogi nużyć. Po polach szuły się widnia srebrnolice i jakieś tajemnicze szepty.

Daleki klasztor modlił się łkaniem dzwonów zwojujących na pasterkę. Szły echa łzawych zachwyceń, które mistrz robiąc dzwon przelał z duszy swojej w twarde spiż. Szły w dal rozręskien, bo były nową emanacją zrodzone z tajemnicy i marzenia.

Nareszcie Marya dotarła do chaty.

Pchnęła drzwi. Zostawiła w sionce obmarzłe chustki i wpadła szybko do izby.

Aż syknęła, taki powiał nagle mróz.

— Adasiu — — Adasiu — — już jestem — — zawołała radośnie, stawiając ostrożnie na piecu garnuszki

Cisza — — —

Powiała pustka rozpacziwa rzeczy dokonanej już i minionej. — Lkał po kątach ból wieczystej utraty i coś, co już nigdy nie wróci w tej samej przemianie.

Marya bez tehu zbliżyła się do łóżka duszę całą mając w oczach.

— Adasiu spisz? —

Cisza.

Dotknęła czoła jego. Sztywna twarzyczka, oświetlona nagle ukośnym promieniem księżyca, była blada i zimna. Oczy patrzyły w dał, na rzeczy niezemskie.

— O Jezusie — krzyknęła — — — i osunęła się na podłogę zemdlona.

Olga Bilińska.

KRONIKA.

Zyczenia „Wesołych Świąt“ przesyłamy P. T. Prenumeratorom i Przyjaciółom naszego pisma.

Porządek nabożeństw w dni Świąt Bożego Narodzenia w kościele parafialnym w Sanoku jest następujący:

We wtorek o godzinie 12. w nocy „Pasterka“ celebrowana przez ks. dziekana Matwikiewicza.

We czwartek dnia 25. b. m. prymaria o 7. rano, ciche msze św. o 8 i 8^{1/2}, wotywa o 9 rano, suma z kazaniem o 10^{1/2}, przed południem — nieszpory o 3^{1/2} po południu.

W piątek w dzień św. Szczepana ten sam porządek nabożeństw. Po sumie święcenie owsa.

W sobotę dnia 27. b. m. jako w dzień św. Jana Ewangelisty, odprawioną zostanie o 8 rano wotywa, poczem święcone będzie wino.

Na Pasterce odegra muzyka strażacka, pod batutą p. St. Budwela, cały szereg ślicznych kolend.

Tradycyjna wieczornica opłatkowa w sanockim Sokole odbędzie się dnia 5. stycznia 1914.

O bliższych szczegółach wieczornicy poinformowani zostaną członkowie Sokola kurenda.

Wedle staropolskiego zwyczaju chodzić będą i w tym roku księża wikarzy w całej parafii „po kolendzie“ i zbierać datki na pokrycie dawnych długów zaciągniętych na malowanie kościoła, oraz na uporządkowanie obejścia kościelnego.

Zaznaczyć musimy, że księża wikarzy poświęcają się dla dobra parafii, bo przez zebrany „po kolendzie“ grosz zmniejszają się znacznie ciężary konkurencyjne. Dziwnem też jest, że w poprzednich latach, zamiast z objawami wdzięczności, spotykali się w swej peregrynacji z niczem nieuzasadnionymi przykrościami.

Datki są dobrowolne. Wolno każdemu dać, albo nie dać — ale nie wolno nikomu zachowywać się niewłaściwie wobec tych, którzy z całym zaparciem się siebie spełniają przykre i uciążliwe zadanie kolektantów.

Z powodu świąt wydajemy zamiast w niedzielę dnia 22. b. m. dopiero dzisiaj ostatni w tym roku „święteczny“ numer Tygodnika.

Następny numer okaże się w dniu 1. stycznia 1914, poczem następnie powrócimy do regularnego wydawania pisma w każdą niedzielę rano.

Wiadomości osobiste. Namieśnik przeniósł w stan stałego spoczynku p. Andrzeja Bugierę, sekretarza starostwa w Sanoku.

Budżetowe posiedzenie rady miejskiej odbyło się w dniach 22 i 23. b. m.

Sprawozdanie z posiedzenia tego, które miało wyjątkowo przebieg całkiem poważny oraz sam budżet zaczniemy drukować w następnym numerze Tygodnika.

Sylwestra urządzi dla swych członków w dniu 31. b. m. Kasyno w Sanoku. Niewymuszone, skromne, a bardzo miłe zabawy sylwestrowe w Kasynie cieszą się od dawna doskonałą opinią u starszych i młodszych. Niewątpliwie i w tym roku będą chcieli wesołym gwarem zagłuszyć przykre wspomnienia fatalnego roku „trzynastego“ i w gronie znajomych oczekiwać przybycia tajemnicą okrytej „czternastki“.

Świetnie zapowiada się wystawienie „Jasełek“ Konopnickiej, które odbędzie się staraniem sanockiej Drużyny Bartoszewej w dniach 3 i 4. stycznia 1914 w sali Sokola.

Bilety na oba przedstawienia są już prawie w całości rozkupione.

Do powodzenia „Jasełek“ przyczynią się wsparte kostymy i dekoracje, sporządzone wedle wzorów art. malarza p. Zygmunta Wrześniowskiego i Maks. Słuszkiewicza. Scena przedstawiać będzie „bajecznie kolorową“ prawdziwą szopkę krakowską, oświetloną fantastycznie światłem elektrycznem.

Kto chce zobaczyć „Jasełka“, niech spieszy póki czas po bilety do Kramu T. S. L.

Dziś święci rocznicę pierwsza nasza notatka w sprawie stanowiska fiaków przy ulicy Tadeusza Kościuszki i obok sklepu p. Michała Słuszkiewicza. Fiakry stoją tam wbrew pozwoleniom magistratu i Starostwa, a obie te władze są zdaje się wobec nich bezsilne, bo ich nie usuwają.

Magistrat i starostwo swoje, a przedsiębiorcy fiakerscy swoje.

Jest to po prostu niesłychane, aby władza autonomiczna i polityczna pozwoliła tak kpić ze siebie.. fiakrom.

Licytacja rewiru rybackiego na Sanie i Oslawie odbędzie się w sanockiem starostwie w dniu 29. b. m.

Zwracamy uwagę ogółu na tą sprawę, albowiem żydzi, którzy uważają się za uprzywilejowanych co do spożywania ryb, dokładają wszelkich starań, aby stać się panami rybołówstwa w Sanie. W tym celu zawiązała się nawet żydowska spółka, która dla zmylenia współlicytantów poddzierżawę rewiru Józefa Solona.

Niech więc chęć nabycia rewiru mający katolicy nie kępiją się osobą p. Solona, bo będzie on tylko żydowskim figurantem i niech starają się o nabycie rewiru, a może przecież będą mogli i katolicy w Sanoku spróbować od czasu do czasu, jak smakuje ryba.

Loterya gospodarska, urządzona w dniu 14 grudnia b. r. na dochód biednych zostających pod opieką Towarzystwa św. Wincenego à Paulo, przyniosła brutto. 1115 K. 35 h., wydatki wyniosły 208 k. 96 h., pozostał czysty dochód 906 k. 39 h.

Za ten tak pomyślny wynik składam w imieniu biednych serdeczną podziękę tym wszystkim, którzy łaskawie ofiarowali fanty, jak też i wzięciem udziału w loteryi przyczynili się do przysporzenia dochodu.

Osobno dziękujemy raz jeszcze W. Pannie, które raczyły zająć się rozsprzedażą, losów przy stolikach i sprzedażą przy bufecie.

Wszystkim składam serdeczne „Bóg zapłać“.

Władysława Szomkowa.

Składki. W Kramie T. S. L. złożyli:

Pan Maryan Kawski — zamiast życzeń noworocznych złożył na rzecz T. S. L. K. 5.

P. Baczyński z Zagórza na Zakład wychowawczy w Miejsou piastowem K. 3

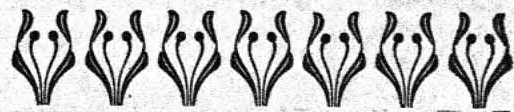
Odpowiedzi od Redakcyi. W Pani Olga Bilińska, Lwów. Serdecznie dziękujemy i polecamy się nadal łaskawej pamięci.

M. H. w S. Nie otrzymałszy „obietanego“ wierszyka do dzisiejszego numeru spodziewamy się dostać za tydzień ładne „Powitanie Nowego Roku“ do numeru noworocznego.

Ciekawy w Ustrzykach. Żle się Pan wybrał, bo my nie możemy i Panu wyjaśnić, dlaczego Kasyno w Sanoku oświetlone jest stale przez całą noc

Wyjaśnień w tym kierunku mogłoby Panu udzielić Prezydium Kasyna.

Odpowiedzialny redaktor: Michał Pollak.



Rzecz dotąd niebywała!

Posyła każdemu tak długo, jak tylko zapas wystarczy, za pobraniem poczt.

1 Pierścionek złoty

14-karatowy z prawdziwym dyamentem oprawionym według najnowszego fasonu, dla Pań i Panów według życzenia i podanej miary licząca 1 szt. K. 4-50, 2 szt. K. 8-50, 3 szt. 12 K.

G. Seidel

KRAKÓW, ul. Warszawera Nr. 1.

Gdyby posłany pierścionek nie zadowolonił odbiorcę — zwracam pieniądze.

Już nadeszły
ostatnie nowości na jesień i zimę
w olbrzymim wyborze
do magazynu bławatnego
Antoniego Uwiery
LWÓW, ul. Halicka 10.
FILIA W STANISŁAWOWIE.
TOWAR TYLKO DOBOROWY.
Ceny nadzwyczaj niskie.
Próbki odwrotnie.

